

## KONRAD GOLIAN

Warszawa, 20 maja 1946 r. p.o. Sędzia Okręgowy Śledczy Sądu Okręgowego w Warszawie Halina Wereńko, działając na mocy dekretu z dnia 10 XI 1945 r. o Głównej i Okręgowych Komisjach Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce (Dz.U. RP nr 51, poz. 293) przesłuchała niżej wymienioną osobę w charakterze świadka. Po uprzedzeniu świadka o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań oraz o znaczeniu przysięgi sędzia odebrała od niego przysięgę na zasadzie art. 109 kpk, po czym świadek zeznał, co następuje:

---

Imię i nazwisko	Konrad Golian
Imiona rodziców	Feliks i Ludwika z d. Badowska
Data urodzenia	22 listopada 1903 r. majątek Badów Górny, pow. błoński
Zajęcie	przemysłowiec, właściciel fabryki „Nałęcz”
Wykształcenie	wydział prawny
Miejsce zamieszkania	Warszawa, ul. Wolska 54 m. 200
Wyznanie	rzymskokatolickie
Karalność	niekarany

---

W czasie powstania warszawskiego mieszkałem w Warszawie, przy ul. Wolskiej 54. Dom, w którym mieszkałem, miał cztery podwórza i przejście na ul. Płocką 22. Na trzecim podwórzu mieściła się moja fabryka makaronów pod firmą „Nałęcz”. W domu mieszkało ponad 200 rodzin.

5 sierpnia w godzinach rannych przebywałem w fabryce, inni mieszkańcy przeważnie byli zgrupowani w piwnicach. Ze mną w fabryce byli: Szczucki (imienia nie pamiętam) z żoną, dyrektor gimnazjum Niżnikiewicz Dyonizy, robotnik fabryki Pieczychlebek z żoną i małym dzieckiem i Irena Budkiewiczówna, meldowana u mnie fikcyjnie jako pracownica.

W pierwszych dniach powstania w okolicach mego domu i w domu przebywali powstańcy, którzy wycofali się 3 sierpnia. Po wejściu powstańców w ciągu dwóch dni panował spokój na naszym terenie, jakkolwiek na ulicach trwały walki, słysząc było strzelaninę z karabinów maszynowych i czołgów.

5 sierpnia na teren mojej posesji wkroczył oddział niemiecki, słyszałem później, że byli to SS-mani z dywizji „Herman Göring”. Było to rano, posłyszałem strzały na podwórzu i krzyki Niemców oraz przerażone głosy dzieci i kobiet. Zarówno ja, jak i przebywający ze mną, nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Po chwili Niemcy zaczęli dobijać się do fabryki, która była od wewnątrz zamknięta. Początkowo nie otwieraliśmy, wobec czego Niemcy zaczęli przez okna rzucać granaty. Robotnik Pieczychlebek Stanisław i ja uciekliśmy w głąb fabryki, celem ukrycia się. Pozostali otworzyli drzwi i zobaczyli kilkadziesiąt osób leżących na ziemi, rozstrzelanych tuż przy fabryce. Na to dyrektor Niżnikiewicz cofnął się z przerażeniem do fabryki, a wówczas Niemcy go zastrzelili. Pozostali zostali wyprowadzeni pod mur fabryczny, SS-mani ustawili przed nimi karabin maszynowy. Postawieni pod murem usiłowali wytłumaczyć SS-manom, by ich oszczędzili, Irena Budkiewiczówna okazała legitymację i niezgodnie z prawdą powiedziała, iż fabryka pracowała dla Wehrmachtu, ponadto dała im złote pierścionki i łańcuszki złote. Te argumenty podziałały, Niemcy kazali im iść do kościoła pod wezwaniem św. Stanisława, przy czym oświadczyli, iż mają rozkaz wszystkich i wszystko zniszczyć.

Po chwili Niemcy oświadczyli, że odchodzą i wycofali się. Wtedy ja i Pieczychlebek wyszliśmy z ukrycia i razem z naszą grupą poszliśmy do Szpitala Wolskiego. Może w pół godziny potem szpital został otoczony przez Niemców, którzy wszystkich obecnych, zarówno ludność cywilną, jak i rannych mogących chodzić, księży, lekarzy, siostry zakonne i sanitariuszki ustawili przed szpitalem w szeregu, osobno grupę mężczyzn i kobiet, po czym ul. Płocką poprowadzili do Górczewskiej.

Na Górczewskiej pod mostem były ustawione karabiny maszynowe. Na wiadukcie grupę zatrzymano, po czym skierowano nas do szopy na tzw. Moczydle. Podobno była to szkoła obrabiarek metali.

W szopie Niemcy przeprowadzili segregację, oddzielając kobiety i dzieci od mężczyzn. Ponadto pogrupowali osobno lekarzy i pozostałych mężczyzn. W chwili naszego przybycia znajdowało się tam już trochę ludzi, jak sądzę, z okolicznych domów. Wszystkich razem

mężczyzn mogło być około 700 osób, tyleż samo kobiet z dziećmi. Usiedliśmy na ziemi i tak trwało parę godzin.

W pewnym momencie Niemcy zapotrzebowali na ochotnika pięciu mężczyzn. Zgłosiło się pięciu młodych chłopców i poszło. Jaki los ich spotkał, nie wiem, domyślam się, że zostali rozstrzelani. Przez cały czas słysząc było strzały karabinów maszynowych i czołgów, miałem wrażenie, iż działa obrona przeciwlotnicza. Po chwili Niemcy kazali wyjść na ochotnika 20 mężczyznom, później partiami wybierali kilka razy po 50 osób. Ile razy to się powtarzało, nie pamiętam. Wyszedłem w przedostatniej grupie, było nas około 50 osób. Przed szopą ustawiono nas w szeregach po pięć osób. Kazano oddać zegarki. Mnie zegarek z ręki zabrano jeszcze w Szpitalu Wolskim. Następnie pod silnym konwojem szliśmy ulicą obstawioną przez wojsko z rozpylaczami i zaprowadzili nas przed domek przy Górczewskiej, zaraz przy moście kolejowym. W tym miejscu po lewej i prawej stronie rozstrzeliwano. Naszą grupę rozstrzeliwano po prawej stronie. Dom jest na górze, jezdnia jest niżej położona. Gdy zeszła pierwsza dwudziestka, druga czekała na swoją kolejkę. Przy budynku płonącym leżał już stos trupów. SS-mani z rozpylaczami stali po stronie przeciwległej i strzelali do nadchodzących. Trupy leżały pojedynczo. Ile ich było, nie umiem określić, w każdym razie na setki można by liczyć. Na środku podwórza upadłem, nie będąc trafionym. Na lewej nodze leżały zwłoki mego buchaltera Graczeńskiego Pawła oraz Szczucki. [Dalej] leżał mój robotnik Pieczychlebek, ślusarz Burzykowski, konserwator naszego domu, sublokator Niżnikiewicz, Niemcewicz.

Po egzekucji przyszedł między trupy SS-man i dobijał jeszcze żyjących. Tak strzelił do Szczuckiego, przestrzelił mu biodro i pęcherz.

Szczucki przeżył, obecnie mieszka na Pradze, adresu nie znam.

W jakiś czas potem nastąpiły znowu egzekucje. Leżąc twarzą do ziemi, nie widziałem, ile osób zostało jeszcze rozstrzelanych. Niemcy znów dobijali żyjących. Po jakimś czasie odeszli, a ja nawiązałem rozmowę ze Szczuckim i Kozą i postanowiliśmy uciekać, gdy się ściemni. W tym czasie słyszałem jęki – ludzie umierali. Od płonących domów i zabudowań zapaliły się niektóre trupy i płonęły.

Kiedy się ściemniło, razem z Kozą i Szczuckim zaczęliśmy się czołgać po trupach. Szczucki, ciężko ranny, pozostał w małym domku za placem, gdzie odbyła się egzekucja. Tu później

odnaleźli go Niemcy i odtransportowano go do Pruszkowa, gdzie trafił do szpitala i wyleczył się. Ja i Koza udaliśmy się do Ulrychowa, do siostry Kozy, która tam mieszkała.

Tu obmyliśmy się z krwi. W drodze do Ulrychowa dołączył do nas przy placu egzekucyjnym Osiński.

Obecnego adresu Kozy nie znam. Z Ulrychowa razem z Osińskim poszedłem na Parcele Zielonki, stamtąd pod Grodzisk. Tu stale odbywały się łapanki na warszawiaków. Z Grodziska najpierw Osiński, później ja wyjechaliśmy do powiatu grójeckiego, gdzie przebywałem aż do nadejścia Armii Czerwonej.

Opuszczając moją fabrykę przy ul. Wolskiej, widziałem leżących pod murami zastrzelonych mieszkańców tej posesji. Zginęło tam około stu osób, w tym dzieci, kobiety, starcy i kilku mężczyzn. Zginęła tam cała rodzina Paluszków: mąż, żona i dzieci; Kolasieńska, żona dozorczy i jej syn; Szorowa rodzina Burzyńskiego, który zginął na Moczydle. Innych nazwisk nie pamiętam.

Kobiety pozostałe na Moczydle 6 sierpnia zostały odprowadzone do fortu Wola, skąd matki z dziećmi zwolniono. W związku z tym młode kobiety wypożyczały sobie dzieci i wychodziły na wolność.

Na tym protokół zakończono i odczytano.